

A więc klamka zapadła. W środę 29 marca brytyjska premier Theresa May zgłosi formalnie Brukseli wolę opuszczenia Unii Europejskiej. Dotrzymała terminu uruchomienia Art.50 Traktatu Lizbońskiego – przed końcem marca.

Teoretycznie, w tym momencie zaczyna bić ustawiony na dwa lata licznik rokowań o warunkach Brexitu. Nadal jednak nie wiadomo od czego je zacząć. Brytyjczycy dawali do zrozumienia, że chcą rozmawiać jednocześnie i o warunkach rozstania, i o przyszłych związkach ekonomicznych. Bruksela chce to rozdzielić – najpierw rozwód, potem co dalej.

Cena zerwania

Od pewnego czasu przedstawiciele Komisji Europejskiej straszą Brytyjczyków rachunkiem za rozwód. Brytyjska prasa przytacza sumę 50 miliardów funtów. Szef Komisji Jean-Claude Juncker jest mniej precyzyjny – od 20 do 60 miliardów tytułem dotrzymania zobowiązań, jakie Londyn podpisał na wiele lat z góry. Brytyjski minister do spraw wystąpienia z UE, David Davis wylicza, że to najwyżej kilkaset milionów. Są to oczywiście wyjściowe pozycje przetargowe, ale ilustrują skalę rozbieżności.

Juncker twierdzi, że negocjatorzy Komisji są lepiej przygotowani do rokowań niż Brytyjczycy i mają całą strategię zapiętą na ostatni guzik. Z przecieków cytowanych w londyńskiej prasie wynika, że w wypadku odmowy zapłacenia owych 50 miliardów, radcy prawni Komisji powiedzą brytyjskim delegatom: „Do zobaczenia w Hadze” i skierują sprawę wprost do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości.

Pogróżki Junckera

Szef Komisji Europejskiej grozi zresztą nie tylko rajdem na brytyjską kasę. Im bliżej inicjacji rokowań, tym ostrzej wypowiada się o warunkach, jakie otrzyma Londyn. Ostatnio powiedział

niemieckiej gazecie niedzielnej „Bild am Sonntag”, że Wielka Brytania „będzie miała do wyboru albo takie dania, jakie będą na stole, albo w ogóle do niego nie siadać”. Dorzucił jeszcze: „będzie się musiała przyzwyczaić, że będzie traktowana jako kraj postronny”. A kiedy pozostali członkowie Unii zobaczą, jak potraktowano Londyn „zakochają się w sobie ponownie i odnowią zaślubiny z Unią Europejską. Na przykładzie Wielkiej Brytanii zobaczą, że występować z UE to kiepski pomysł.”

Jakby dla ilustracji bojowego nastawienia Komisji Europejskiej, w brukselskim biurze negocjacyjnym zwił własnej roboty plakat fikcyjnej komiksowej przygody: „Tintin i plan Brexitu”. Na wzburzonym morzu szalupa. W niej, na rufie, wystraszony bohater z psem Milusiem wpatrują się w ognisko z wioseł strzelające wysokim płomieniem między nimi, a grzejącym się na dziobie łodzi beztroskim kapitanem Baryłką.

Brytyjczycy powtarzają stale, że nie odcumowują od Europy, opuszczają tylko unijny klub, ale chcą zachować bliskie, dogodne dla obu stron związki. Ale nikt nie wie w jakim kształcie. Nawet premier Theresa May mówi niemal jednym tchem, że Brexit oznacza opuszczenie wszystkich unijnych instytucji, w tym jednolitego rynku i unii celnej, a zarazem wyraża chęć utrzymania „jak najszerszego dostępu do jednolitego rynku towarów, usług i kapitału”. Z jednym wyjątkiem – swobodnego przepływu pracowników. Ta kwestia nie leży wprawdzie u źródeł zadawnionego eurosceptycyzmu polityków, zarówno na prawicy, jak i na lewicy, stała się jednak najbardziej nośnym argumentem wśród elektoratu przed referendum unijnym i zaciążyła na jego wyniku.

Co z naszymi na Wyspach?

Premier May nalegała już w zeszłym roku, by jeszcze przed startem rozmów o Brexicie obie strony zagwarantowały pełnię praw imigrantom. W grę wchodzi poczucie bezpieczeństwa ponad miliona Brytyjczyków na Kontynencie i ponad 3 milionów Europejczyków na Wyspach, w tym od 800 tysięcy do miliona Polaków. Konserwatywny poseł polskiego pochodzenia Daniel Kawczyński mówi:

- Nasza premier kategorycznie i publicznie stwierdziła na wstępie, że chcemy najpierw rozwiązać tę kwestię, ponad wszystko inne. I słusznie, bo mamy do czynienia z ludźmi, z ich życiem. Niech to będzie naszym priorytetem. Muszą wiedzieć, czy będą mogli pozostać. To absolutnie krytyczna sprawa.

Winę za to, że do tego nie doszło Kowalczyk składa na stronę unijną. I to nawet nie zwyczajowo na Komisję i jej szefa, Jean-Claude'a Junckera, lecz na przewodniczącego Rady Europejskiej:

- Niestety, pan Tusk postanowił w swej mądrości nie zgodzić się na rozwiązanie tej sprawy przed uruchomieniem Artykułu 50. Pan Tusk zachował się bardzo niefortunnie i myślę, że na polskie media spada odpowiedzialność, by wysunąć przeciw niemu ten zarzut.

Ale nie bez winy jest i strona brytyjska. W dwóch głosowaniach, w lutym i marcu, Izba Gmin odrzuciła wszelkie poprawki do ustawy brexitowej, które mogły dać imigrantom jakieś gwarancje. Pozostają więc jedynie domysły. Dyrektor pomocowego ośrodka East European Resource Centre w Londynie, Barbara Drozdowicz mówi:

- Przez cały okres negocjacyjny Wielka Brytania pozostanie w Unii, więc teoretycznie nic się nie zmieni. Natomiast w praktyce może być tak, że osoby przyjeżdżające do Wielkiej Brytanii, albo te, które już tu są, ale w nieugruntowanej zawodowo sytuacji, będą podlegały jakimś formom wyzysku. Bo już teraz obserwujemy takie zjawiska jak brak ochrony pracowniczej, zaległości w wypłatach, na tej zasadzie, że ich status jest jakby wątpliwy, choć tak nie jest.

Barbara Drozdowicz niepokoi się również, czy ostre spory negocjacyjne w Brukseli nie doprowadzą do zaostrzenia już obowiązujących, ale niezbyt rygorystycznie stosowanych przepisów. Chodzi o obowiązek przepracowania co najmniej 3 miesięcy, czy wymóg wykazania się minimalnym dochodem 156 funtów tygodniowo, zanim imigrant nabierze praw do świadczeń socjalnych.

- Już od jakichś dwóch lat zaczęto z większym entuzjazmem stosować te przepisy wobec obywateli Europejskiego Obszaru Ekonomicznego – mówi Drozdowicz. - A to się przekłada na to, że ludzie muszą po prostu udowodnić, że nie są wielbłądem. Przechodzą przez pełną kontrolę imigracyjną, żeby dowieść prawa do świadczeń. To jest, niestety, bardzo często bieg z przeszkodami, bo trzeba pamiętać, że w Anglii nie ma czegoś takiego jak kodeks administracyjny, więc urzędnicy nie są obowiązani załatwić sprawy w ciągu 30 dni. Decyzje mogą być rozpatrywane przez 6 miesięcy, co w praktyce oznacza formę dyskryminacji systemowej w dostępie do zasiłków i mieszkań. Mieliśmy taki przypadek, że jeden nasz klient zmarł, zanim zdołał wywalczyć podstawową emeryturę państwową.

Ze strony brytyjskiego rządu płyną uspokajające sygnały: osoby o uregulowanym statusie, pracujące, stabilne finansowo, wiążące swoją przyszłość z Wielką Brytanią nie mają żadnych podstaw do obaw, pozostaną. Ale Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w Londynie odmawia jakichkolwiek wyjaśnień, czy coś się zmieni w ich statusie już od momentu uruchomienia Artykułu 50. – To sprawa decyzji politycznych, nie przepisów administracyjnych – wyjaśnia resortowe biuro prasowe.

Tymczasem polski elektryk, Mirek M., od 10 lat na Wyspach, mówi wiadomościom telewizji SKY News:

- Czuję się niewygodnie. Ja i większość moich znajomych przestaliśmy wydawać. Bo jeśli będę zmuszony wyjechać, wywożę swoje oszczędności, sprzedam mieszkanie i spływam.

Ta niepewność i oszczędność trapi właściciela polskiego sklepu „Anna” w południowym Londynie:

- Niech pan patrzy, jak mało klientów. Dawniej stała kolejka. Ale ludzie przestali wydawać, to i nie przychodzą. Na Gwiazdkę mieliśmy o 1/3 mniejsze obroty niż rok temu. Ile towaru poszło do kosza!

Poseł konserwatywny Daniel Kawczyński podkreśla, że deportacje osób już osiadłych na Wyspach byłyby nie do pomyślenia. Jak mówi, jest to nie tylko stanowisko brytyjskiego

rządu, ale i społeczeństwa, wyrażane w sondażach opinii. Kawczyński potwierdza, że Wielka Brytania korzysta na polskiej imigracji, ale dodaje:

- Na przyszłość, po Brexicie, skończy się, mam nadzieję, swobodny przepływ ludzi, bo to jest nie do opanowania. Taka wolna amerykanka nie jest dobra ani dla Polski, ani dla Wielkiej Brytanii. Drenaż mózgów zaczyna być tam odczuwalny w gospodarce. Niemniej uważam, że wysoko kwalifikowani polscy pracownicy będą u nas nadal mile widziani. Będą się mogli starać o pozwolenia na pracę i większość pewnie je otrzyma, ale na określony okres – dwóch, trzech, czterech, pięciu lat, a potem będą musieli albo starać się ponownie, albo wrócić do Polski.

Nic więc dziwnego, że w przewidywaniu komplikacji, już od jesieni 2015 roku z kwartału na kwartał rośnie liczba podań obywateli UE o naturalizację. Średnio o jedną czwartą, ale wśród najbardziej zaniepokojonych obywateli 8 państw wschodniej flanki UE – o ponad jedną trzecią kwartalnie.